

# Stanisław Mikke

---

## Fatamorgana

---

Palestra 48/3-4(543-544), 106-108

---

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# BEZ TOGI



*Stanisław Mikke*

## FATAMORGANA

Wielość bulwersujących zdarzeń to – powie niejednen – raj dla publicystów. Zbędnym staje się zanurzanie we własnej pamięci, dumanie, o czym tu napisać. Ba, nie ma potrzeby nawet myśleć. Wystarczy przecież włączyć radio lub telewizor, czy choćby pobieżnie zerknąć w codzienną gazetę. Od tej chwili cały wysiłek musi być skoncentrowany na jednym zadaniu, na eliminacji, z czego zrezygnować, bo... to, tamto i owamto aż się prosi.

U nas nie jest tak nudno jak w Szwajcarii, powiedział niedawno w porannej audycji pewien polityk, do niedawna jeszcze noszony na rękach w środkach przekazu. I za chwilę dodał, że tak jak choroba wściekłych krów przenosi się, tak i wściekli dziennikarze przenoszą swój stan tu i ówdzie. Nie wiem, czy tą wypowiedzią coś zyska wśród tych, którzy nie szczędzą dziś krytyki.

Jedno jest pewne. Zdecydowanie „aszwajcarska” atmosfera, w której od pewnego już czasu przychodzi nam przebywać, nie sprzyja wyważonym ocenom ani jakiegokolwiek głębszej refleksji. A nawet jeśli już pojawia się gdzieś głos nawołujący do zatrzymania się i zapytania: co dalej?, natychmiast ginie w echem sejmowych burd oraz zgiełku wszechogarniających skandali i różnych populistycznych akcji, które coraz częściej zaczynają przybierać postać projektów legislacyjnych. Nie kiem, to ustawą. A może tym razem się uda.

Te populistyczne fajerwerki uderzają i w nasze środowisko. Na wydziałach prawa studiuje obecnie około 70 tysięcy młodych ludzi, w większości za niemałą odpłatnością, co stanowi fantastyczny wręcz interes. Nie tylko dla uczelni państwowych i niepaństwowych w liczbie znaczącej. Co zrobić, aby zapanować nad coraz większą frustracją studiujących, którzy płacą i żądają nie tylko wiedzy, lecz jakichś, jednak nie byle jakich perspektyw na potem. Widzą przecież nieco starszych od

siebie, którzy ze świeżym dyplomem w ręku miotają się to tu, to tam w poszukiwaniu atrakcyjnego, także finansowo, a nie zwykłego urzędniczego zajęcia. Co zatem czynić, aby nadal płynął strumień chętnych do studiowania prawa? Wszystko przemawia za tym, że to brak koncepcji rozładowania dzisiejszego wyżu absolwentów, brak pomysłu na rozwiązanie problemu na przyszłość, skłania niektórych do rozważania – to przecież oczywiste – że niczego więcej, tylko mirażu świetnego funkcjonowania w intratnych, jak głosi legenda, zawodach prawniczych. Należy tylko, wmawia się młodym, zdezorientowanym ludziom i społeczeństwu, złamać nieprzyjazne korporacje, z których z największym upodobaniem eksponuje się adwokaturę.

Ostatnio przeszedł samego siebie tygodnik „Wprost” (nr 14 z 6 kwietnia 2003 r.), publikując artykuł, z podpisów należy się domyślać, że ojca i syna, pod dziwnym tytułem „Korporacenzizm”. „Notariusze i adwokaci obdzierają nas ze skóry” woła Tygodnik już na okładce. A wewnątrz dowiadujemy się, że skorzystanie z porady prawnej zmusza do zapłacenia... haraczu. I dalej: samorządy zawodowe, brzmi to groźno-komicznie „likwidują konkurencję” i „drenują nasze kieszenie”. Zapewne autorzy, uprawiając w tekście żonglerkę różnymi liczbami, sądzą, że wpadli na znakomitą pointę pisząc, iż do dopóki wpływy korporacji będą tak duże jak teraz, dopóty dostęp do wielu profesji będzie trudniejszy niż wejście w struktury mafijne ukazane w pewnym filmie; kandydat na gangstera musiał tam mieć rekomendację jednego członka „rodziny”, a tymczasem kandydat na adwokata musi mieć aż dwóch członków korporacji.

Jakoś nikt nie zastanawia się, że konstruowana tak żmudnie fatamorgana rozpadłaby się z chwilą zrealizowania niektórych rewolucyjnych pomysłów, bo tak jak popyt, choćby na gaz ziemny, ma swoje granice, tak jest i z polem działalności prawniczej, pomijając już całą jej specyfikę, która przemawia przeciwko oddaniu tej działalności bez reszty we władanie niewidzialnej ręki rynku, bowiem inna ręka wkrótce stałaby się aż nadto dostrzegalna. To z jednej strony, a z drugiej: nikt z tych, którzy uwierzyli że fundowana im wizja może się stać rzeczywistością (projektodawcy nowej drogi do zawodu adwokata, radcy prawnego i notariusza szacują liczbę tych, którzy już dziś oczekują na wejście do tych zawodów na 60 tysięcy), nie zakłada przecież własnego bezrobocia lub w najlepszym przypadku klepania biedy z takim czy innym tytułem zawodowym. Legendy mają jednak swą magiczną moc, choćby daleko odbiegały od prawdy. Dlatego można łatwo je podtrzymywać. A co będzie w nie tak odległej perspektywie? Nie warto, prawda?, o tym myśleć.

Ten krótki dystans, ten skrócony oddech charakteryzuje naszą terażniejszość. W której też wyobrażenia o związku określonych podmiotów z nieodzownymi, jak się wydawało, przymiotami charakteru i wiedzą stają się iluzją. Oto nie tak dawno prorektor najszacowniejszego uniwersytetu, znany historyk, wychowawca kolejnych pokoleń, dążąc do powołania na szefa instytutu o znaczeniu nie do przecenienia dla odbudowywania porządku moralnego, kłamie, zatajając swoją uprzednią działalność partyjną. Inny wychowawca, profesor medycyny zamieszany w aferę fałszo-

wania głosowań w Parlamencie. A dziekan jednej z ASP zmienia datę powstania swego obrazu, aby znaleźć się w konkursie i zdobywa I nagrodę, co jednak szybko kończy się międzynarodową kompromitacją. Dochodzimy do takiego punktu, w którym rodzi się pokusa, żeby po każdym spodziewać się wszystkiego. Wszystkiego najgorszego. I wpisywać to w „takie czasy”.

Może więc dla własnego dobra, a i bezpieczeństwa należy wyrabiać w sobie taką postawę, by nic nie było nas w stanie zaskoczyć? Nic szokować. Na przykład przyjmując bez zdziwienia to, co ostatnio usłyszałem z ust profesor polonistyki stołecznego uniwersytetu, iż studenci tego wydziału na pytanie: kto to jest społecznik? nie podają przykładu doktora Judyma czy Janusza Korczaka, a odpowiadają zgodnie, że jest to człowiek robiący koło siebie dużo szumu, umiejący zadbać o własne sprawy, dobrze poruszający się przed telewizyjną kamerą itp. Mam i ja trudności, żeby w to uwierzyć, ale moja rozmówczyni jest osobą poważną. Również trudno będzie uwierzyć, tym razem nie mnie i nie nauczycielom akademickim, którzy poziom swych absolwentów znać muszą, ale innym, iż ci, którzy uważają, że zostali skrzywdzeni nieprzyjęciem na aplikację adwokacką, na pytania o powstanie styczniowe odpowiadali, że zdarzyło się w XVII wieku, powstanie warszawskie wybuchło w czterdziestym pierwszym, „Solidarność” to oczywiście rok pięćdziesiąty szósty, a głośnym procesem politycznym w PRL był proces szesnastu, żeby już na tym poprzestać i nie wyliczać przykładów żenującej *ignorantiae iuris*.

No, ale może wreszcie nadszedł ten czas, aby przyzwyczajając się, że nauczyciel języka polskiego naszych dzieci i wnuków nie będzie znał Żeromskiego, Mickiewicza i Herlinga Grudzińskiego, a czytał Sapkowskiego i Grocholę, zaś polski adwokat mylił Traugutta z Waryńskim prawie nic nie wiedząc ani o jednym, ani o drugim, nie odróżniał prawa materialnego od procesowego i mieszał Trybunał Stanu z Trybunałem Konstytucyjnym, ale za to będzie umiał sprawnie poruszać się w wybranym zagadnieniu kodeksu spółek handlowych?

Czy rzeczywiście należy pogodzić się z takim obrotem spraw ziemskich i przestać się dziwić? Ktoś jednak podpowiada, że póki przynajmniej dziwimy się, póty jesteśmy.